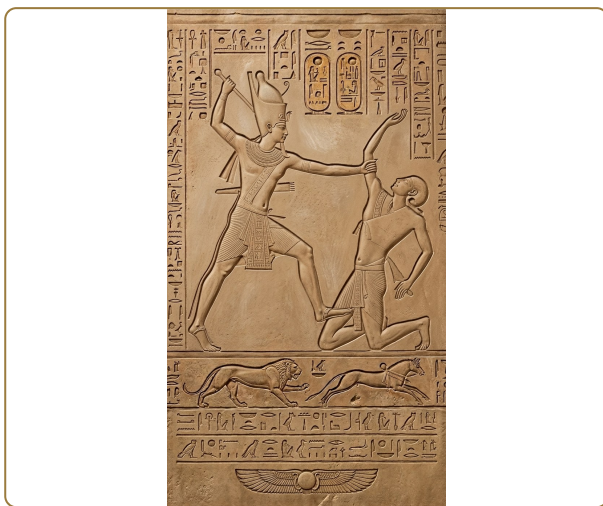


MOJŻESZ

TOM 1

OBROŃCA EGIPTU



MAREK MIGAŁA

SAGA O MOJŻESZU

Tom 1

Obrońca Egiptu

Tom 2

Wielki Dowódca Armii

Tom 3

Prawa Ręka Boga

(w przygotowaniu)

Tom 4

Ziemia Obiecana

(w przygotowaniu)

*Zanim cię ukształtowałem w łonie matki, znałem cię,
zanim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię,
prorokiem dla narodów ustanowiłem cię.*

*Odpowiedziałem: «Ach, Panie Boże,
przecież nie umiem mówić,
bo jestem zbyt młody.»*

Jr 1,5–6

Copyright © Marek Migąła, 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana w systemie wyszukiwania ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub jakimikolwiek środkami — elektronicznymi, mechanicznymi, fotokopią, nagraniem ani innymi — bez uprzedniej pisemnej zgody autora.

Wydanie pierwsze, 2026

Obrońca Egiptu jest powieścią historyczno-fikcyjną. Postacie i wydarzenia zostały zainspirowane tradycją biblijną i starożytną, jednak przedstawione tu myśli, dialogi i szczegóły fabularne są dziełem wyobraźni autora.

EGIPT W CZASACH SETIEGO I RAMZESA II NAJWAŻNIEJSZE BITWY I WYDARZENIA



SETI I
(1200–1279 p.n.e.)
Wielki wojownik, który odbudował potęgę Egiptu.



RAMZES II
(1279–1213 p.n.e.)
Największy władca Nowego Państwa.



Najważniejsze wydarzenia

- ✕ **Bitwa pod Kadesz**
(1274 p.n.e.)
- Ramzes II vs Hetyci
- ✕ **Bitwa pod Megiddo**
(1292 p.n.e.)
- Seti I vs Libijczy

- ✕ **Bitwa pod Rafa**
(1296 p.n.e.)
- Seti I vs Libijczy
- ✕ **Bitwa pod Megiddo**
(1312 p.n.e.)
- Seti I vs Libijczy

- ✕ **Bitwa z wojskami Kusz**
(1279 p.n.e.)
- Seti zes II vs Kusz

„Chwała Egipcjom, którzy zwyciężają na wszystkich ziemiach.”

SPIS TREŚCI

Słowo od Autora	8
<i>Prolog — Dekret</i>	14
Egipt — zanim Mojżesz przyszedł na świat	
Rozdział I — Przed pamięcią	24
Goszen i Memfis — narodziny, kosz, korona	
Rozdział II — Prawo miecza	52
Seti Men-Maat-Re — bunt Szosu, Kanaan, cień Kadesz	
Rozdział III — Syn Rzeki	70
Mojżesz, lat 8 — Memfis	
Rozdział IV — Szkoła książąt	80
Mojżesz, lat 7–11 — Kep Nisut, pierwsza broń, turniej	
Rozdział V — Rywale	97
Mojżesz, lat 11–13 — próby, rywalizacja, Setnacht	
Rozdział VI — Chłopiec z tablicy	127
Mojżesz, lat 12 — Goszen i znak	
Rozdział VII — Kanaan	141
Mojżesz, lat 14–15 — Pierwsza kampania, Seti, Horemheb	
Rozdział VIII — Pałac i Goszen	157

Mojżesz, lat 15–17 — Rydwan, prawda Termutis, rodzina	
Rozdział IX — Cień korony	173
Mojżesz, lat 17–19 — Druga kampania, dowodzenie, zazdrość, pierwsza miłość	
Rozdział X — Pałac	193
Rozdział XI — Za trzecią bramą	201
Mojżesz, lat 19–22 — Per-Ankh, Amenhotep, Tablice	
Rozdział XII — Pierwsza krew	220
Memfis: pierwsza krew, pierwsza strata	
Rozdział XIII — Południe płonie	249
Egipt — Inwazja	
Rozdział XIV — Cień wojny	260
Egipt — reduta i front domowy	
Rozdział XV — Klęska	278
Egipt, miesiąc drugi po inwazji	
Rozdział XVI — Wyrocznie mówią	288
Egipt — kapłani i Termutis	
Rozdział XVII — Decyzja	301
Egipt — Mojżesz przed faraonem	
Rozdział XVIII — Wódz	316
Egipt — trzy dni przygotowań	
Rozdział XIX — Pierwszy kontakt	327
Granica pustyni — zwiad, nocna walka	
Rozdział XX — Pierwsze uderzenie	340

Granica Górnego Egiptu

Rozdział XXI — Pościg

361

Górny Egipt — seria zwycięstw

Epilog Tomu I — Droga na południe

391

Górny Egipt — pościg aż do Saby

SŁOWO OD AUTORA

Zacząłem się od pytania, które zadałem sobie przy kolejnej lekturze Księgi Wyjścia: gdzie jest człowiek?

Bo Mojżesz w tradycji biblijnej pojawia się już gotowy. Mamy niemowlę w koszyku, mamy starca z laską przy krzewie gorejącym — i między tymi dwoma obrazami jest czterdzieści lat prawie całkowitej ciszy. Czterdzieści lat życia na dworze najpotężniejszego państwa starożytnego świata, w środku egipskiej elity wojskowej, politycznej i kapłańskiej — i literatura zbywa ten czas kilkoma zdaniem. Jakby nie było ważne.

Dla mnie to był właśnie ten czas, który chciałem napisać.

Mojżesz przez cztery dekady żył jako Egipcjanin. Uczył się w Per-Ankh — Domu Życia — gdzie kształcono kapłanów i pisarzy. Studiował egipską teologię, egipskie prawo, egipską strategię wojenną. Modlił się do egipskich bogów, bo innych nie znał. Imię Jahwe słyszał może od Hebrajczyków w Goszenie — ale Goszen to był inny świat, za murem, dostępny tylko przez okrągłe objazdy i dziecięce wyprawy, które kończyły się przed zapadnięciem zmroku. Jahwe był bogiem jego biologicznych rodziców, których ledwo pamiętał. Egipt był rzeczywistością, w której żył każdego dnia.

A mimo to nie był Egipcjaninem.

I to napięcie — między tym, czym był z urodzenia, a tym, czym go uczyniono, między Goszeniem a pałacem, między hebrajską krwią a egipskim wykształceniem — wydało mi się najciekawszym materiałem psychologicznym w całej tej historii. Człowiek, który przez czterdzieści lat nie wie do końca, kim jest. Który walczy w egipskiej armii i dowodzi egipskimi rydwanami, i jednocześnie wraca nocami do dzielnicy, gdzie jego biologiczna rodzina nosi cegły na egipskie budowy. Który modli się

do Amona i słucha opowieści o Abrahamie. Który kocha adoptowaną matkę i jest obcym dla matki biologicznej.

Tego człowieka brakowało mi w literaturze.

Życie Mojżesza daje się podzielić na trzy równe etapy, każdy trwający czterdzieści lat. Pierwszy — książę egipski, żołnierz, dowódca, człowiek dworu. Drugi — zbieg, pasterz u Madianitów, mąż i ojciec na pustyni, człowiek bez kraju. Trzeci — prorok, prawodawca, wódz wyjścia, głos Boga dla narodu, który dopiero musi stać się narodem. Każdy z tych etapów to inny człowiek — albo raczej ten sam człowiek w innym stadium rozumienia siebie.

Ta powieść obejmuje etap pierwszy.

Staralem się pokazać Mojżesza takim, jakim musiał być, zanim stał się tym, za kogo go znamy: zdolnym, ambitnym, wewnętrznie rozdartym człowiekiem, który przeszedł przez twardą szkołę egipskiego wojska i egipskiej polityki, który kochał i tracił, który popełniał błędy i płacił za nie, który przez lata nosił w sobie pytanie o własną tożsamość — i nie miał na nie dobrej odpowiedzi. Człowiekiem, który spotkał Boga przy krzewie gorejącym dopiero w osiemdziesiątym roku życia, po czterdziestu latach na dworze i czterdziestu na pustyni. I który nawet wtedy nie był pewien, czy jest właściwą osobą do tego, o co Bóg go prosi.

Kimże jestem, żebym szedł do faraona?

To jedno zdanie z Księgi Wyjścia powiedziało mi więcej o Mojżeszu niż wszystkie jego cuda razem wzięte. To jest głos człowieka z historią, nie człowieka z gotową misją. Głos kogoś, kto zna swoje granice, bo przez osiemdziesiąt lat zdążył je poznać boleśnie.

Tę historię chciałem opowiedzieć.

Marek Migala

2026

DRAMATIS PERSONAE

Główne postacie sagi

RODZINA MOJŻESZA

Mojżesz	Hebrajczyk wychowany na dworze faraona. Wielki Dowódca Południa, kapłan Per-Ankh, zbieg i pasterz. Protagonista.
Aaron	Starszy brat Mojżesza. Garncarz w Goszenie. Człowiek ludu — cierpliwy, trzeźwy, nieomylnie rozumiejący tych, których Mojżesz zna tylko z odległości.
Miriam	Siostra Mojżesza i Aarona. Prorokini Goszenu. Jako dziecko czuwała przy koszyku na Nilu.
Amram	Ojciec Mojżesza. Lewita, robotnik przy cegielniach Goszenu.
Jochebed	Matka Mojżesza. Karmiła go przez trzy lata, nierozpoznana przez własnego syna.

DWÓR EGIPSKI

Termutis	Córka faraona, przybrana matka Mojżesza. Wyciągnęła go z koszyka na Nilu. Kocha go ze wszystkimi
-----------------	--

błędami, jakie miłość popełnia, gdy chroni zamiast mówić.

Seti	Faraon Egiptu. Przybrani dziadek Mojżesza. Trzeźwy, cierpliwy władca — mówi mało, ale każde słowo waży.
-------------	---

Tuja	Wielka małżonka faraona Setiego, matka Ramzesa i przybrana babka Mojżesza. Twarda i kalkulująca — to jej chłodny rozum, nie wróżby, prowadzi dynastię. To ona kazała zatrzymać hebrajskiego znajdę „dla rozumu” i odtąd nie spuszcza go z oka.
-------------	--

Ramzes	Syn Setiego i Tui, następca tronu i koregent. Rówieśnik Mojżesza i jego chłodny rywal od szkoły książąt — nie z nienawiści, lecz z rachunku: znajda jest zbyt zdolny, by dało się go zlekceważyć.
---------------	---

Ahmose	Dowódca rydwanów, najlepszy przyjaciel Mojżesza. Żołnierz z zasadami — mówi prawdę, nawet gdy boli.
---------------	---

Horemheb	Generał Egiptu, poprzednik Mojżesza. Przegrał kampanię etiopską. Człowiek starej szkoły.
-----------------	--

Kipa	Sługa i cień Mojżesza. Wie o dworze wszystko, co da się wiedzieć, i połowę tego, czego się nie da — wierny, choć języka nie trzyma za zębami.
-------------	---

MIŁOŚCI MOJŻESZA

Iset

Pierwsza miłość Mojżesza z lat dworskich. Pogodna, ciekawa wszystkiego, ostra w języku — to ona pocałowała go pierwsza. Odeszła, gdy jej ojca przeniesiono w górę rzeki.

Neferet	Druga miłość Mojżesza — córka dostojnika świątyni Ptaha, odcytana i nieustępliwa. Wybrała go wbrew woli ojca i zapłaciła za ten wybór najwyższą cenę.
----------------	---

ANTAGONIŚCI

Pa-Ramesu	Generał Egiptu. Cierpliwy, precyzyjny wróg Mojżesza. Nie atakuje wprost — buduje przez dekady.
------------------	--

Setnacht	Syn Pa-Ramesu. Rywalizuje z Mojżeszem od szkoły książąt. Uczy się od ojca cierpliwości jako broni.
-----------------	--

Nebseny	Kapłan Amona. Od urodzenia Mojżesza prowadzi skrzynię notatek. Czeka na właściwy moment przez dekady.
----------------	---

Nebamon	Kapłan, który wyrokował przeciw Mojżeszowi jako niemowlęciu. Złożył Termutis przysięgę milczenia — i jej dotrzymał, szukając furtki.
----------------	--

Pa-shedu	Pisarz przy administracji robót publicznych. Świadek nocnej bójki w zaułku Memfis — szantażuje Mojżesza przez pośredników.
-----------------	--

Nakhtmin	
-----------------	--

Oficer, którego córka była zakładniczką Pa-Ramesu.
Zdradził plany Mojżesza — i żyje z tym do końca.

KUSH I ETIOPIA

Kenamon Król Kush. Jedyne antagonista, który dorównuje Mojżeszowi intelektem — wojnę prowadzi głową, nie mieczem.

PER-ANKH I MISTRZOWIE

Nebwenenef Kapłan Per-Ankh, pierwszy mistrz Mojżesza. Uczył tekstów i zadawał pytania bez odpowiedzi.

Amenhotep Kapłan Per-Ankh, człowiek od ptaków. Praktyk ka. Towarzyszy Mojżeszowi przez całą kampanię etiopską.

ANIOŁOWIE I DEMONY

Michał Anioł czuwający nad Mojżeszem od koszyka na Nilu. Nie działa wprost — stoi po stronie światła w wojnie, której Mojżesz jeszcze nie widzi.

Mastema Przeciwnik zza granicy świata widzialnego. Kusi i podszeptuje, próbując złamać Mojżesza cudzymi rękami. Cierpliwy jak żaden człowiek — bo ma na to wieczność.



PROLOG — Dekret

Egipt — zanim Mojżesz przyszedł na świat

Sen faraona

Seti obudził się z krzykiem.

Nikt tego nie słyszał — sypialnia faraona leżała za trzema drzwiami i strażnicy mieli rozkaz nie wchodzić bez wezwania. Siedział więc sam w ciemności, szata mokra i przyklejona do piersi, a wokół niego ten smród strachu, jaki czuje ciało, gdy uwierzyło w coś, czego głowa jeszcze nie zdążyła pojąć.

Sen wracał od miesiąca. Zawsze ten sam.

Rydwany od północy. Nie jego rydwany — tamte. Lżejsze, szybsze, z łukami złożonymi, których nie rozpoznawał. Hyksos — wiedział to we śnie tak samo pewnie jak wiedział swoje imię. Przyszli znowu. I z nimi — Hebrajczycy. Setki tysięcy. We śnie wyglądali jak mrówki wylewające się z Goszenu, zalewające drogi i kanały i ulice Memfis, i każdy niósł coś — narzędzie albo broń albo po prostu kamień — i było ich tak dużo, że ziemia pod nimi znikła, i było tylko morze ciemnych głów i ten dźwięk, który jest, kiedy wiele tysięcy nóg idzie w tym samym kierunku.

W kierunku pałacu.

Seti wstał i podszedł do okna. Memfis za murem spało. Nil błyszczał przy księżycu spokojnie i obojętnie jak zawsze. Żadnych rydwanów. Żadnych mrówek.

Ale sen był prawdziwy — tego był pewien. Nauczył się już dawno rozróżniać sny, które są tylko snami, od snów, które są ostrzeżeniami. Ten był ostrzeżeniem.

Stał przy oknie długo i myślał o Hyksos.

Dwieście lat temu. Przyszli dokładnie tak — z północy, z rydwanami, których Egipt nie miał, i z łukami, które były dalej. Przez sto lat Egipt żył pod obcymi. Faraonowie spali w takich samych komnatach jak ta i widzieli przez takie same okna Nil, i myśleli, że są bezpieczni — i nie byli.

A Hebrajczycy — Seti odwrócił się od okna — Hebrajczycy byli tu już wtedy. Przy Hyksos. Współplemieńcy. Semici jak tamci. I nie walczyli po stronie Egiptu.

Rano każe zwołać doradców.

Narada

Sala narad o świcie pachniała woskiem i starym kamieniem.

Pięciu doradców przy stole. Wezir Ptahmose — gruby, z tymi oczami, które zawsze obliczają, ile kosztuje co powiedzieć, zanim to powiedzą. Naczelný kapłan Amona Kha-em-waset — chudy, z białą szatą bez skazy, z miną kogoś, kto wie więcej, niż mówi, i kto to wie o sobie. Dowódca straży Mahu — jedyny przy stole, który spał tej nocy spokojnie, widać to było po oczach. I dwóch pisarzy przy ścianie z tabliczkami gotowymi.

Seti usiadł i od razu powiedział:

— Ile ich teraz jest.

Ptahmose wiedział, o kogo chodzi, bez pytania.

— Ostatni spis — przeszło czterysta tysięcy mężczyzn zdolnych do pracy, Najjaśniejszy Panie. Kobiet i dzieci — szacunkowo dwa razy tyle.

— Milion dwieście tysięcy — powiedział Seti.

— Przybliżenie. Ale rzędu wielkości poprawne.

Milczenie przy stole. Milion dwieście tysięcy brzmiało inaczej wypowiedziane głośno niż napisane na tabliczce.

— Dwa pokolenia temu — powiedział Seti — było ich może sto tysięcy. Może mniej. — Chwila. — Jakim cudem jest ich teraz dwanaście razy tyle.

Kha-em-waset powiedział spokojnie: — Rodzą dużo, Najjaśniejszy Panie. I śmiertelność dzieci u nich niższa niż u Egipcjan. Żyją w rodzinach wielopokoleniowych, wspierają się nawzajem, nie oddają starców.

— Wysłałem ich do robót publicznych — powiedział Seti. — Trzy lata temu. Pi-Seti, kanały przy Piom, forty przy wschodniej granicy. Ciężka praca. Małe racje. — Patrzył na Ptahmose. — I co.

Wezir westchnął nieznacznie.

— Pracują, Najjaśniejszy Panie. Ciężej niż egipska siła robocza, szybciej, z mniejszymi stratami przy wypadkach. — Pauza. — I wciąż rodzą dużo dzieci.

— Zmniejszone racje nie pomagają.

— Zmniejszone racje obniżają wydajność pracy. Nie obniżają liczby urodzeń.

Seti wstał i podeszedł do okna. Z sali narad widać było południe — tę stronę miasta, gdzie zaczynało się Goszen. Nawet o świcie było widać dym z kuchni. Dużo dymu.

— Przy Hyksos — powiedział nie odwracając się — ich przodkowie walczyli po tej samej stronie co najeźdźcy. Jest pisemne świadectwo. Kapłan Amona z tamtego czasu zapisał, że Hebrajczycy otwierali bramy miast, gdy Hyksos podchodzili.

— Jest takie świadectwo — potwierdził Kha-em-waset ostrożnie. — Choć historycy spierają się o jego wiarygodność.

— Nie interesuje mnie spór historyków. — Seti odwrócił się. — Interesuje mnie, co będzie, jeśli przyjdzie nowe zagrożenie od wschodu.

Albo od północy. I jeśli milion dwieście tysięcy Hebrajczyków zdecyduje się otworzyć bramy po raz drugi.

Nikt przy stole nic nie powiedział. Bo nie było co powiedzieć — rachunek był prosty i wszyscy go widzieli.

Mahu przy stole

Mahu, dowódca straży, milczał przez całą naradę. Tak przystało człowiekowi jego pozycji przy wezyrze i naczelnym kapłanie — głos żołnierza liczy się przy planowaniu kampanii, nie przy decyzjach tej wagi.

Ale myślał.

Wiele lat służby nauczyło go czytać twarze władców lepiej, niż mówić do nich, i twarz Setiego tej nocy niosła w sobie coś, czego Mahu widział tylko raz wcześniej — przy starym faraonie, ojcu Setiego, w jego ostatnich miesiącach, kiedy choroba zaczęła brać przewagę nad ciałem silniejszym niż umysł chciał przyznać.

To nie był strach przed śmiercią. To był strach przed czymś gorszym — przed tym, że historia, której władca jest częścią, może go przerosnąć bez względu na to, jak wielką armią dowodzi.

Po naradzie, kiedy inni już wyszli, Mahu zatrzymał się przy drzwiach.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział, ośmielony tą szczególną swobodą, jaką mają starzy żołnierze przy władcach, którym służyli przez dekady. — Armia może odpowiedzieć na rydwany. Na łuki. Na każde widzialne zagrożenie.

Seti spojrzał na niego.

— Ale nie na sen — powiedział Mahu, kończąc myśl, której faraon sam nie chciał wypowiedzieć. — Uważaj, Najjaśniejszy Panie, żeby strach przed snem nie sprawił, że zaczniesz walczyć z czymś, czego żadna armia nie pokona, bo to nie jest przeciwnik z ciała i kości.

Seti milczał długo.

— Wiem, co mówisz — powiedział w końcu. — Ale czasem strach przed snem jest jedynym ostrzeżeniem, jakie dostajemy, zanim sen stanie się czymś więcej niż snem. — Pauza. — Idź. I miej żołnierzy gotowych, obojętnie przeciw czemu przyjdzie im stanąć.

Mahu wyszedł. Niepokój, którego nie umiał nazwać, został z nim na lata — długo po tym, jak dekret zaczął zbierać żniwo w Goszenie.

Astrologowie

Rok później Seti wezwał ich w środku nocy.

Trzech starców z obserwatorium przy świątyni Ra w Heliopolis — ci, którzy od czterdziestu lat obserwowali niebo i zapisywali, i obliczali. Przyszli z tabliczkami z brązu pokrytymi pismem tak drobnym, że Seti nie mógłby go odczytać nawet w dzień.

Starszy z trzech — Bakenkhonsu, osiemdziesiąt lat, ślepy na lewe oko od pracy przy blaskach nocnych przez dekady — powiedział bez wstępu:

— Gwiazdy wskazują na narodziny, Najjaśniejszy Panie. Kogoś, kto przyniesie zmianę.

— Jakiego rodzaju zmianę.

— Koniec czegoś. Początek czegoś innego. Obliczenia wskazują na — Bakenkhonsu zawahał się — na wyzwolenie ludu, który jest w ucisku.

Seti siedział nieruchomo.

— Hebrajczycy — powiedział.

— Obliczenia nie wskazują narodu wprost. Ale — tak. Prawdopodobieństwo wysokie.

— I kiedy.

— Dzień jest obliczalny. Siódmy dzień miesiąca Adar. Tego roku albo przyszłego — marginesy błędu przy tak dalekich obliczeniach są znaczne. — Starzec złożył ręce. — Ale jest pewna trudność, Najjaśniejszy Panie.

— Mów.

— Wyjdzie spośród ludu, który jest w ucisku — spośród Hebrajczyków; tego jesteśmy niemal pewni. Ale gwiazdy mówią coś, czego nie umiemy pojąć: że będzie miał z Egiptem związek, i to silny — jakby jedną ręką należał do nich, a drugą do nas. Tego rozwikłać nie umiemy, Panie. Wiemy tylko, że urodzi się Hebrajczykiem.

Cisza w sali.

Potem powiedział — i głos miał spokojny, spokojniejszy niż przez ostatni rok, gdy myślał o tym wszystkim w nocy:

— Każdy syn hebrajski urodzony siódmego dnia miesiąca Adar idzie do Nilu. Każdego roku. Dopóki nie będziemy pewni.

Bakenkhonsu powiedział cicho:

— To będzie wiele dzieci, Najjaśniejszy Panie.

— Wiem — powiedział Seti.

Seti sam

Po odejściu astrologów Seti siedział sam w sali narad, długo po tym, jak światło lampy zaczęło migotać, sygnalizując potrzebę dolania oliwy, którą nikt nie przyszedł dolać, bo nikt nie wiedział, że faraon wciąż tam siedzi.

Rządził już na tyle długo, by wiedzieć, że największe decyzje władcy nie są decyzjami o tym, co jest słuszne, tylko decyzjami o tym, co jest możliwe do przeżycia.

Pamiętał ojca, opowiadającego mu jako dziecku o czasach Hyksos, nie z opowieści przekazanych, ale z opowieści własnego ojca, który pamiętał ostatnie lata obcej okupacji, kiedy egipscy chłopcy uczyli się chodzić cicho we własnym kraju.

— Nigdy więcej — powiedział mu ojciec, trzymając go za ramiona z siłą, jaka zostaje w pamięci dziecka na całe życie. — Cokolwiek musisz zrobić, żeby to się nie powtórzyło, zrobisz to.

Teraz, wiele lat później, z dekretem, który właśnie podpisał, brzmącym w jego głowie jak wyrok, którego nie mógł cofnąć bez utraty

twarzą przed całym dworem, Seti zadawał sobie pytanie, którego nie odważyłby się zadać przy nikim innym.

Czy ojciec miałby na myśli to konkretnie?

Nie miał odpowiedzi. Miał tylko strach starszy niż jego własne życie, przekazywany z pokolenia na pokolenie, jak choroba, której nikt nie pamiętał już źródła, tylko symptomy.

Był jeszcze drugi strach, młodszy od tamtego, ale nie mniej ciężki, i tego Seti nie wypowiadał głośno nawet przed sobą. Krew, którą nosił, nie była krwią bogów. Była krwią żołnierzy z Deltą — twardych ludzi, którzy służyli koronie mieczem przez pokolenia, aż pewnego dnia korona została bez dziedzica i miecz okazał się bliżej tronu niż ktokolwiek z prawem urodzenia. Jego ród nie odziedziczył Egiptu. Wziął go, bo nie było nikogo innego, kto mógłby go utrzymać. I Seti wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek na dworze, który dzień w dzień malował na ścianach jego boskie pochodzenie w farbach tym jaskrawszych, im mniej było pod nimi prawdy.

Dynastia, która sama sięgnęła po tron, boi się jednej rzeczy bardziej niż obcych rydwanów: że ktoś inny zrobi dokładnie to samo. Że znajdzie się ród silniejszy, liczniejszy, cierpliwszy — i weźmie koronę tak, jak wzięli ją oni, bo raz pokazana droga zostaje otwarta na zawsze. Dlatego dwór Setiego nie był miejscem leniwego przepychu. Był obozem wojskowym w szatach ze złota, w którym każde małżeństwo było przymierzem, każde dziecko zakładnikiem przyszłości, a każda słabość — szczeliną, przez którą mógł wejść ktoś głodniejszy.

I oto, w samym środku tego kruchego, budowanego niemal z niczego boskiego prawa, rósł lud, który nie oddawał czci jego bogom, mnożył się szybciej, niż ktokolwiek potrafił policzyć, i pamiętał — Seti był tego pewien — że kiedyś w tej ziemi rządzą obcy tacy jak on. Milion dwieście tysięcy. Nie wróg u bram. Wróg już w środku, w ceglarniach, pod samą podłogą pałacu, na którym malowano jego boskość.

Wstał dopiero, gdy lampa zgasła, i wyszedł w ciemny korytarz. Ten ciężar nosił już potem co noc, do końca życia.

Dekret

Dekret wyszedł na ulice Memfis rankiem następnego dnia.

Każdy syn Hebrajki — do Nilu. Nie tylko siódmego Adara. Faraon zdecydował w nocy, że ostrożność wymaga więcej. Każdy syn. Zawsze.

Przy fontannie przy wschodniej ulicy egipska kobieta imieniem Meret słyszała, jak herold czyta dekret, i patrzyła na sąsiadkę Deborah — Hebrajkę, żonę garncarza, będącą przy końcu ciąży od tygodnia.

Deborah też słyszała.

Ich oczy spotkały się przez chwilę.

Potem Deborah odwróciła się i poszła do domu bez słowa.

Nil niesie

Dziecko garncarza urodziło się trzy dni po dekreście. Chłopiec.

Deborah trzymała go przy piersi przez noc i przez następny dzień i przez następną noc. Mąż siedział przy drzwiach z nożem, bo słyszał, że Egipcjanie chodzą po Goszenie i sprawdzają. Córeczka — trzy lata, nie rozumiała, dlaczego mama nie śpi i dlaczego tata siedzi tak przy drzwiach — zasnęła przy matce.

Drugiej nocy przyszli.

Dwóch egipskich żołnierzy i sąsiad — Egipcjanin z północnego końca ulicy, którego garncarz znał od dziesięciu lat i z którym handlował gliną.

Garncarz stanął w drzwiach.

Żołnierze go odsunęli.

Deborah krzyczała i trzymała dziecko i żołnierz musiał użyć obu rąk, żeby je zabrać, a ona szła za nim przez izbę i przez próg na ulicę krzycząc i sąsiad odwrócił wzrok i żołnierze szli ku Nilowi i Deborah szła za nimi krzycząc, dopóki drugi żołnierz jej nie zatrzymał siłą.

Stała na ulicy Goszenu w środku nocy z otwartymi ustami.

Córeczka stała za nią we drzwiach i patrzyła.

Przy Nilu — plusk. Cichy, jak kamień.

Potem cisza.

Przy ulicy garncarzy tej nocy — to samo. Przy ulicy tkaczy. Przy ulicy rybaków. Przy wszystkich ulicach Goszenu, gdzie urodził się chłopiec od czasu dekretu.

Nil niósł je ku morzu spokojnie i obojętnie jak niósł wszystko przez tysiąclecia.

Mąż Deborah

Garncarz, mąż Deborah, którego imię było Natan, nie spał przez wiele nocy po tej, kiedy żołnierze zabrali jego syna.

Siedział przy swoim warsztacie, formując glinę bez celu, bez wzoru, tylko ruchem rąk, który nie pozwalał myślom zatrzymać się na jednym miejscu zbyt długo.

Deborah nie mówiła o tym, co się stało. Przez pierwsze dni milczenie było jedynym sposobem, żeby unieść żal i nie rozpaść się na kawałki.

Sąsiad, ten, który przyszedł z żołnierzami, ten, z którym handlował gliną przez dziesięć lat, przestał przychodzić do warsztatu.

Ze wstydu czy ze strachu — Natan nie wiedział. Ale ta nieobecność też była odpowiedzią. Niewystarczającą.

Tydzień później Natan poszedł do niego. Nie z gniewem — choć gniew się w nim tlił — ale z pytaniem, które musiał zadać, żeby żyć dalej.

— Czemu — powiedział, stojąc przy drzwiach sąsiada, który otworzył je niezgrabnie, jak człowiek niepotrafiący spojrzeć drugiemu w oczy.

— Żołnierze przysliby i tak — powiedział sąsiad, głosem łamiącym się przy każdym słowie. — Z moją pomocą czy bez niej. Myślałem... myślałem, że jeśli pomogę, będzie szybciej, mniej bolesne.

— Nic nie jest mniej bolesne przy zabraniu dziecka — powiedział Natan. Bez krzyku, bez wściekłości. Cicha prawda rani głębiej niż krzyk.

Sąsiad nie odpowiedział. Żadna odpowiedź nie wróciłaby tego, co stracone. Granicę między nimi Egipt postawił długo przed tą nocą — a przez dekadę udawali, że jej nie ma.

Natan odwrócił się i odszedł. Nigdy więcej z nim nie handlował. Przez lata mijali się na tej samej ulicy, każdy ze swoim ciężarem tamtej nocy — i nigdy się nie pojednali.

I w Goszenie — kobiety, które rodziły, przestały krzyczeć przy porodach. Bo krzyk słyszą sąsiedzi, a sąsiedzi mówią innym, a inni Egipcjanom.

Rodziły w ciszy.

I przez tę ciszę Goszen stało się miejscem, gdzie każda noc była czymś, co trzeba było przeżyć.

I przez tę ciszę — Amram przy szabatowej lampie modlił się co piątek z zamkniętymi oczami i prosił o jedno: żeby Bóg, który mówił do Abrahama i do Izaaka i do Jakuba, nie zasnął.

I pewnej nocy — Bóg odpowiedział.

Ale to jest historia następnego rozdziału.



ROZDZIAŁ I — Przed pamięcią

Goszen i Memfis — narodziny, kosz, korona

Sen Amrama

Amram obudził się trzeciej nocy z rzędu i wiedział, że tym razem nie zaśnie.

Leżał na plecach z oczami otwartymi w ciemności. Jochebed spała przy nim — słyszał jej oddech, spokojny, głęboki, ten oddech człowieka, który potrzebuje snu, bo przez ostatnie miesiące nie spał dość, i przez to ciało upomina się o swoje, nawet kiedy głowa woli czuwać. Brzuch przy niej był teraz taki duży, że zmieniała strony powoli i z wysiłkiem, i on budził się, kiedy się obracała.

Ale ta noc — to nie ona go obudziła.

Sen był taki sam jak dwie poprzednie noce. Głos. Nie twarz, nie postać — sam głos, i nie słyszał go uszami, lecz gdzieś głębiej, w miejscu, gdzie w człowieku siedzi to, co wie, zanim pomyśli. Głos mówił, że dziecko, które się urodzi, będzie służyło Bogu. Że Egipt będzie jego domem i że przez ten dom wróci do swoich z czymś, czego bez Egiptu nie miałby. Że Amram ma zaufać rzece.

Zaufać rzece.

Tej samej rzece, do której żołnierze faraona wrzucali hebrajskie dzieci, odkąd wyszedł dekret.

Amram leżał i patrzył w sufit. Trzydzieści lat przy szabatowej lampie i przy modlitwie — nauczyły go jednego: że są sny, które są tylko snami, i są sny, które są czymś innym. Odróżnienie jest trudne i nie zawsze pewne. Ale trzy noce z rzędu, ten sam głos, to samo zdanie — to nie było coś innego niż sen. To był głos.

Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Jochebed.

— Jochebed.

Obudziła się od razu — nie tak jak się budzi ktoś, kto spał głęboko, lecz tak jak śpią kobiety przy końcu ciąży, na granicy, gotowe na wszystko, co może przyjść w nocy.

— Co się stało — powiedziała ciemności.

— Muszę ci powiedzieć sen.

Cisza przez chwilę. Potem usiadła powoli, z trudem, jaki kosztuje każdy ruch w ostatnim miesiącu ciąży. Oparła się o ścianę. W ciemności Amram widział tylko zarys jej sylwetki.

— Mów — powiedziała.

Mówił. Ona słuchała bez przerywania — siedziała nieruchomo i słuchała, i kiedy skończył, cisza trwała długo.

— Trzy razy — powiedziała w końcu.

— Trzy razy. Ten sam.

Położyła dłoń na brzuchu. Jeden gest i nic więcej.

— Co robimy — powiedziała.

Amram wiedział, co chce powiedzieć, i wiedział, że to zaboli, i powiedział to i tak.

— Gdy przyjdzie czas — dajemy go rzece. Tak jak mówił głos.

Jochebed nie odpowiedziała od razu. Siedziała przy ścianie z ręką na brzuchu i milczała. Za oknem Goszen spało — gdzieś daleko szczekał pies, gdzieś bliżej ktoś kaszlał przez sen. Normalna noc.

— Nie — powiedziała. Cicho, ale od razu, bez namysłu, tak jak ciało samo cofa rękę od ognia. — Nie oddam go rzece. Widziałam, co rzeka robi z dziećmi. Widziałam, jak płyną. Nie moje. Nie z moich rąk.

— Jochebed.

— Noszę go od dziewięciu miesięcy — powiedziała, i głos jej się załamał, choć trzymała go nisko, żeby nie zbudzić dzieci. — Czuję, jak się rusza. Za tydzień, za dwa będzie przy mojej piersi. A ty mi mówisz, żebym go włożyła do wody, do której faraon każe wrzucać takich jak on. Żaden głos nie ma prawa prosić matki o to.

Amram nie odpowiadał przez chwilę. Wiedział, że ma rację — że żaden głos nie ma takiego prawa. I wiedział zarazem to drugie, cięższe.

— A jeśli go zatrzymamy — powiedział w końcu — nadzorca usłyszy płacz. Przyjdą żołnierze. I skończy w tej samej rzece, tylko bez kosza, bez ciebie na brzegu, bez żadnego snu, który by nad nim czuwał. Rzeka i tak po niego sięgnie, Jochebed. Głos daje jej jedyny sposób, żeby nie była grobem. Nie proszę, żebyś oddała go wodzie. Proszę, żebyś uwierzyła, że woda go nie weźmie.

— Słyszałam o Abrahamie przy górze z nożem — powiedziała ciszej, po długiej chwili. — Myślałam, że rozumiem. Teraz wiem, że nie rozumiałam.

— Ja też nie rozumiem — powiedział Amram. — Ale głos jest głosem.

Jochebed siedziała długo. Ręka na brzuchu nie ruszała się.

— Więc dobrze — powiedziała w końcu, i w tych dwóch słowach nie było zgody, jaką daje się, gdy się rozumie; była zgoda, jaką daje matka, gdy wybiera niepewną nadzieję zamiast pewnej śmierci. — Ale kosz spłotę sama. I sama wybiorę miejsce. I Miriam będzie stała nad nim tak długo, aż zobaczy, w czyje ręce trafi. Jeśli mam zaufać rzece, zaufam jej na moich warunkach, nie na warunkach żadnego głosu.

Nie położyła się z powrotem. Siedziała przy ścianie z ręką na brzuchu, a Amram słyszał w ciemności, że nie śpi — i że raz po raz, cicho,

bezgłośnie, płacze. Nie odezwał się. Były rzeczy, przy których mężczyzna może tylko leżeć obok i milczeć.

Amram leżał obok z otwartymi oczami do świtu i myślał o rzece.

Narodziny wyzwoliciela

Dziecko urodziło się w nocy.

Jochebed rodziła od godziny i milczała przez całą godzinę — to nie był pierwszy poród i wiedziała, jak milczeć, wiedziała, że krzyk przez ścianę słyszy sąsiad, a sąsiad może powiedzieć nadzorcy. Zęby miała zaciśnięte tak mocno, że szczęka bolała ją przez tydzień potem.

Amram był przy niej. Miriam spała w kącie na posłaniu — pięć lat, zasnęła czekając, owinięta w koc który Jochebed narzuciła jej godzinę wcześniej.

Aaron spał przy siostrze. Trzy lata.

Kiedy dziecko przyszło na świat, izba była ciemna, bo świeca dogorywała przy porodzie i Amram nie miał kiedy jej wymienić. Trzymał Jochebed za rękę i czuł, jak jej uścisk słabnie, gdy jest po wszystkim.

I wtedy zobaczył.

Izba była jasna. Nie przez świecę — świeca dogasała. Przez coś innego, przez jakiś blask, który nie miał źródła, a jednak był, łagodny i spokojny, i przez ten blask Amram widział wyraźnie twarz Jochebed i dziecko, które trzymała, i to dziecko patrzyło na niego.

Chłopiec.

Z ciemnymi oczami głębokimi jak studnia.

Blask zgasł po chwili i izba wróciła do ciemności z dogorywającą świecą. Amram zapalił nową drżącymi rękami. Jochebed nic nie mówiła — karmiła dziecko i patrzyła na nie i milczała.

Amram wiedział, że ona też widziała blask. Nie zapytał. Były rzeczy, których nie trzeba pytać.

Trzy miesiące

Ukrywali go przez trzy miesiące.

Goszen to dzielnica, gdzie ściany są z suszonej gliny i gdzie przez ścianę słyhać wszystko — kłótnię sąsiadów, chorego dziecka, nawet cichą rozmowę przy ognisku, jeśli okno jest otwarte. Jochebed chodziła do każdej kobiety przy tej ulicy osobno i mówiła do każdej to samo — że ona jedyna wie i że na jej dyskrekcji wszystko zależy. Każda myślała, że jest jedyną wtajemniczoną.

Kobiety Goszenu przez trzy miesiące nosiły ten sekret i żadna nie powiedziała ani słowa.

Ale dziecko rosło. Głos rósł razem z nim. I nadzorca ze wschodniej strony ulicy — Egipcjanin, gruby, podejrzliwy tak, jak bywa człowiek, który od lat żyje z donosów — zaczął zaglądać przez ogrodzenie i pytać, o co ten płacz.

Pewnej nocy Amram powiedział: czas.

Jochebed kiwnęła głową. Wyciągnęła spod łoża materiały, które zbierała od miesiący po kawałku — trochę papirusu stąd, trochę ze śmietnika przy kanale, trochę od sąsiadki, która nie pytała po co. Przez całą noc pleciono kosz. Amram trzymał wiązki, Jochebed splatała i uszczelniała smołą i wyklejała środek płótnem, żeby dziecko nie leżało na mokrym.

Miriam nie spała. Siedziała w kącie i patrzyła.

Miała pięć lat i nie rozumiała wszystkiego, ale rozumiała wystarczająco — wystarczająco, żeby siedzieć cicho, i wystarczająco, żeby boleć.

Jochebed przy Nilu

Przed świtem Jochebed wzięła kosz z dzieckiem w środku i wzięła Miriam za rękę i wyszły.

Goszen spało. Ulica ciemna, kamienie pod nogami mokre od nocnej rosy. Jochebed szła szybko i cicho — przez dwa lata dekrety nauczyła się chodzić cicho. Wszyscy w Goszenie nauczyli się chodzić cicho.

Nil o tej porze był szary i spokojny. Łodzie handlowe stały przy nabrzeżu bez ruchu. Nikt na brzegu — nikt nigdy nie ma powodów być przy Nilu przed świtem oprócz tych, którzy mają powody, których nie chcą, żeby wiadano.

Jochebed znalazła miejsce, gdzie papirus rośnie gęsto i gdzie między łodygami jest przestrzeń i gdzie z brzegu nic nie widać.

Położyła kosz między łodygi.

Kosz kołysał się przez chwilę i stanął. Dziecko spało.

Jochebed stała i patrzyła na syna.

Myślała o Abrahamie przy górze — to wspomnienie wracało od tamtej nocy, kiedy Amram powiedział jej o śnie. Abraham szedł na górę z Izaakiem i niósł nóż i wierzył, że Bóg ma plan. Ona stała przy Nilu z pustymi rękami i też miała wierzyć, że Bóg ma plan.

Łatwiej jest słuchać tej historii niż ją przeżyć.

Wzięła głęboki oddech — taki sam jak wtedy przy porodzie, kiedy się nie krzyczało, żeby nadzorca nie słyszał — i odwróciła się od wody.

— Mamo.

Miriam. Stała przy niej poważna, jak dzieci, które rozumieją więcej, niż pozwala im na to wiek.

— Słucham.

— Zostanę tu i będę patrzyła.

Jochebed patrzyła na córkę przez chwilę. Pięć lat. Ciemne oczy, które nic nie dają po sobie poznać — to samo co w Amramie, ta sama twarz, za którą wszystko się dzieje, ale nic nie wychodzi na zewnątrz bez pozwolenia.

— Zostań — powiedziała. — Ale jak ktoś idzie — uciekaj. Nie stój i nie patrz. Uciekaj.

— Dobrze.

Jochebed puściła jej rękę i poszła.

Nie oglądała się.

Miriam usiadła między łodygami papirusu i patrzyła na kosz i czekała. Woda przy niej pachniała błotem i rybami. Gdzieś po lewej stronie jakaś mała ryba uderzyła w powierzchnię i zniknęła. Kosz kołysał się lekko.

Brat spał.

Straż nad wodą

A potem — choć nie było wiatru — powietrze nad koszem zadrżało.

Miriam podniosła głowę. Nad papirusem, tuż nad koszem, stały postacie. Nie na wodzie i nie w powietrzu — po prostu były, jasne i wpół przezroczyste, tak że przez nie widać było blednący brzask i ciemną linię palm po drugiej stronie rzeki. Były wysokie. Blask, który z nich szedł, nie parzył jak ogień, a jednak oczy Miriam zaczęły łzawić i musiała je zmrużyć, i przez łzy widziała tylko, że jest ich kilka i że pochylają się nad jej bratem tak, jak pochyla się człowiek nad czymś, co postawił i czego pilnuje.

Nie bała się. Później, przez całe życie, nie umiała tego wytłumaczyć — że powinna była się bać, a nie bała się wcale. Wiedziała tylko jedno, tak jak dziecko wie rzeczy, których nie umie nazwać: że to jest ręka Boga. Że jej brat nie leży w tym koszu przez przypadek. Że coś, co jest większe niż faraon i większe niż Nil, postawiło nad nim straż o świcie, i że temu dziecku pisane jest zmienić świat.

Odwróciła głowę na chwilę, bo blask był za mocny. Kiedy spojrzała z powrotem, postacie wciąż tam były.

Matka też je widziała — Miriam dowiedziała się o tym dopiero wiele lat później, gdy obie były już stare i gdy noc pozwalała mówić o rzeczach, o których za dnia się milczy. Jochebed szła wtedy ku Goszen z pustymi rękami i nie oglądała się, bo bała się, że jak się obejrzy, to zawróci. Ale coś kazało jej stanąć. I obejrzała się mimo wszystko. I zobaczyła nad koszem światło, na które nie dało się patrzeć, i szła dalej

już inaczej — nie jak matka, która oddała syna rzece, lecz jak Abraham, który zszedł z góry i wiedział, że nóż nie był ostatnim słowem.

Za zasłoną, której oko ludzkie nie unosi, dzień wyglądał inaczej.

Tam nie było brzasku ani rzeki, ani papirusu — a jednak był i kosz, i dziecko, i cała ziemia rozłożona jak dłoń. Ci, którzy stali nad wodą, nie potrzebowali światła, bo sami byli światłem, i nie mierzyli czasu, bo stali poza nim; byli tam, gdzie działali, i działali tu.

Michał stał najbliżej. Ten, którego imię jest pytaniem — *któż jak Bóg* — i który nad wszystkimi wojskami niebieskimi postawiony jest przy Izraelu jako jego książę. Patrzył na dziecko w koszu i milczał, a inni czekali, aż przemówi, bo taki jest porządek: mniejszy czeka na większego, i w niebie nikt nie mówi przed swoim czasem.

— To ten — powiedział jeden z młodszych, ledwie posłaniec. — To o niego szła narada w niebie?

— To on — powiedział Michał.

I wtedy — bo tak było im dane, nie mocą własną, lecz na moment, gdy Ten, który jeden zna serca, uchylił im to jak się uchyla drzwi — spojrzeli na duszę dziecka. Nie czytali jej; czytać serce może tylko Bóg. Ale ujrzeli to, co Bóg pozwolił ujrzeć: że pośród wszystkich dusz ziemi, gęstych i przymglonych jak światła miasta widziane z daleka, ta jedna pali się jasno, prosto i wysoko, jak lampa postawiona na świeczniku, jak ogień, który dopiero ma się rozgorzeć.

— Zmieni świat — powiedział posłaniec cicho, jak mówi się rzecz, która przeraża i zachwyca naraz.

— Jeśli dojdzie — powiedział Michał. — Ma dojść do córki faraona. Papirus ma go donieść. Mamki mają go odmówić, aż przyjdzie właściwa. Tak jest postanowione i tego pilnujemy.

Nie dodał: *jeśli tamci pozwolą*. Nie musiał. Już czuł, jak od strony rzeki gęstnieje chłód, którego woda nie daje.

Przyszli od strony głębi, tam gdzie Nil jest ciemny i gdzie nurt ciągnie w dół.

Ich też kiedyś było światło — nie mniej jasne niż to, które stało nad koszem, bo z tej samej ręki wyszli. Ale światło, które odwróciło się od źródła, nie gaśnie od razu; najpierw stygnie. To, co przyszło znad głębi, było zimne jak metal o świetle i niosło ze sobą smród, który nie był smrodem błota ani ryb, lecz czymś głębszym — jak gnijąca rzecz, której nie widać.

Na przedzie szedł ten, którego imię brzmi Mastema — nienawiść, wrogość, ten, który staje w poprzek. Największy spośród strąconych, jacy tego dnia stanęli nad rzeką. Patrzył na kosz i uśmiechał się, a jego uśmiech był starszy niż Egipt.

— Woda — powiedział. — Wyrocznia orzekła, że wyzwoliciel zginie przez wodę. Więc oddajcie mi wodę. Jeden przechył kosza. Jedno źdźbło papirusu ustąpi pod prąd. To nie będzie nawet nasza ręka — to będzie rzeka.

— Nie tkniesz kosza — powiedział Michał.

— Nie muszę — odparł Mastema. — Wystarczy, że nie będziesz go trzymał wiecznie.

I rzucił się ku wodzie.

To nie było starcie, jakie znają ludzie — bez ostrzy, bez krwi, bez krzyku, który niosłoby powietrze. A jednak było starciem, i papirus nad Nilem zadrzął, jakby przeszedł przezeń podmuch, choć nie było wiatru, i kosz zakołysał się mocniej, i mała ryba czmychnęła w popłochu w głąb. Michał stanął między głębią a koszem, i ci, którzy z nim byli, stanęli obok niego, i przez chwilę — chwilę, która na ziemi trwała tyle, co jedno

drgnienie wody — dwa światła, jedno żywe i jedno stygnące, napierały na siebie nad śpiącym dzieckiem.

Mastema cofnął się pierwszy. Nie dlatego, że był słabszy — choć był — lecz dlatego, że wiedział to, czego nie wie żaden człowiek walczący o swoje: że tej bitwy nie wygrywa się przy koszu.

— Dobrze — powiedział, i chłód zaczął odpływać ku głębi. — Dziś go obronisz. Doniesiesz go do córki faraona, wychowasz go w pałacu, dasz mu imię i mowę i wszystko, co wasze. Trzymaj go, książę. Trzymaj, jak długo chcesz.

Zatrzymał się nad samą wodą.

— Ale on jest z mułu — powiedział ciszej, i w tej ciszy było coś gorszego niż w krzyku. — Ciało. A ciało pochyła się ku grzechowi jak trzcina ku rzece, samo, bez niczyjej ręki. Przyjdzie dzień, gdy nie będę musiał przechylać kosza. On sam do mnie przyjdzie. Z własnej woli — bo tylko z własnej woli człowiek jest nasz, i tylko wtedy, gdy sam wybierze, wy nie możecie już nic. Ani ty, książę, ani cała twoja straż. Będziecie stać i patrzeć, jak stoicie teraz — i nie zrobicie nic.

— Bóg robi — powiedział Michał.

Mastema nie odpowiedział. Zszedł w głębie, a chłód poszedł za nim, i Nil znów pachniał tylko błotem i rybami.

Nad koszem została straż. Dziecko spało. Wschodziło słońce, i papirus stał nieruchomo, i po chwili od strony pałacu, wzdłuż brzegu, szła dziewczyna, która nie wiedziała jeszcze, że idzie po syna.

Termutis

Termutis przychodziła nad Nil o świcie od dwunastego roku życia i miała teraz trzynaście.

Wychodziła ze służącymi — starszą, ostrożną Bekhet i młodziutką Nefret — przez boczne drzwi o tej porze, kiedy strażnicy zmieniali się przy bramach i przez chwilę nikt nikogo nie pilnował dokładnie. Nil o świcie był jej — jedyne miejsce w Memfis, gdzie córka faraona mogła

być człowiekiem, a nie symbolem czegoś. W pałacu zawsze ktoś patrzył. Przy Nilu o tej godzinie — tylko rzeka.

Był i drugi powód, o którym nie mówiła nikomu poza tymi dwiema. Od dwóch lat na jej prawym przedramieniu i na grzbiecie dłoni rozrastała się biała, łuszcząca się plama — trąd, którego kapłani Sachmet nie umieli zdjąć mimo modłów, kadzideł i rozżarzonych noży. Owijała rękę lnianym bandażem po łokieć i mówiła dworowi, że to oparzenie od lampy. Ale wiedziała, co to jest. W Egipcie ciało córki faraona miało być bez skazy, bo samo było znakiem — a znak, który gnieje, przestaje być znakiem. Nad Nilem o świcie mogła rozwinąć bandaż i obmyć chorą rękę w chłodnej wodzie, i przez chwilę nie być tą, która skrywa pod lnem rzecz, jakiej się wstydzi. Tego ranka rozwinęła już płótno do łokcia i chora dłoń była naga, gdy usłyszała płacz.

Niemowlę. Nie bała się — od dziecka kochała zwierzęta i dzieci i ten odruch, który bierze człowieka, gdy słyszy małe coś, które płacze, był w niej silniejszy niż pytanie po co i czemu.

— Tam — powiedziała do Bekhet. — Idź i sprawdź.

Bekhet weszła między łodygi po kolana w błoto nilowe i przyniosła kosz.

Termutis otworzyła wieko.

Chłopiec patrzył na nią.

Nie płakał — płakał wcześniej, teraz patrzył. Ciemne oczy spokojne i skupione jak oczy kogoś, kto czekał i kto, gdy doczekał — po prostu patrzy i potwierdza, że tak miało być.

Niemowlę miesiąc po urodzeniu nie powinno mieć takiego wyrazu. Ale to miało.

Termutis wzięła je na rękę.

Chora dłoń — ta naga, obmyta przed chwilą, bez bandaża — legła płasko na plecach dziecka, skóra do skóry.

I wtedy poczuła ciepło. Nie gorąco lampy ani żaru, którym parzyli ją kapłani — ciepło łagodne, jakby ktoś położył na jej ręce dłoń większą niż

jej własna. Szło od dziecka w górę, przez grzbiet dłoni, przez przedramię, tam gdzie plama była najgrubsza. Termutis spojrzała w dół i przestała oddychać.

Biała łuska schodziła. Nie po tygodniach maści — teraz, w jej oczach, cofała się jak szron, na który padło słońce. Tam, gdzie przed chwilą była martwa, sucha skorupa, wracała skóra gładka i ciepła, różowa jak u dziecka, jakby choroby nie było nigdy. W kilka uderzeń serca jej prawa ręka — ręka, której dwa lata nie pokazała nikomu przy świetle dnia — była czysta od łokcia po koniec palców.

Za jej plecami Nefret krzyknęła cicho i zakryła usta dłonią. Bekhet nie krzyknęła. Bekhet cofnęła się o krok, zbladła i szepnęła:

— Odłóż je, Pani. — Głos miała ściśnięty. — Odłóż je zaraz.

Termutis nie odłożyła. Patrzyła na swoją rękę.

— Widziałas? — powiedziała Nefret, do nikogo, do rzeki. — Widziałas, co się stało z ręką Pani?

— Dlatego mówię: odłóż — powiedziała Bekhet, ciszej, bliżej, żeby nie niósł się głos. — To hebrajskie dziecko, Pani. Chłopiec. Wiesz, co orzekli astrologowie o hebrajskim chłopcu, i wiesz, co twój ojciec rozkazał robić z takimi. Do rzeki. A to — to nie jest zwykłe dziecko. Nad zwykłym dzieckiem ręka nie goi się sama. Jakiś bóg nad nim stoi, obcy bóg, nie nasz, i kto weźmie to dziecko, weźmie i tego boga na kark. Odłóż je, póki tylko my trzy widziałyśmy.

— A gdyby ktoś czwarty widział — powiedziała Termutis wolno, wciąż patrząc na dłoń — powiedziałyby to samo, co ja teraz myślę. Że przez dwa lata karmiłam Sachmet chlebem i krwią i dymem, i Sachmet mi nie pomogła. A to dziecko dotknęło mnie raz i jestem czysta.

Podniosła wzrok znad ręki na twarz chłopca. Dziecko patrzyło na nią spokojnie, tymi ciemnymi, skupionymi oczami, jakby cała rzecz odbyła się dokładnie tak, jak miała się odbyć.

— Ojciec rozkazał topić hebrajskich chłopców — powiedziała. — Ojciec. Nie ja. A mnie ten hebrajski chłopiec zdjął z ręki to, czego nie

zdjął żaden kapłan Egiptu. Więc powiedz mi, Bekhet: któremu rozkazowi mam być posłuszna — temu z pałacu, czy temu, który przed chwilą napisano na mojej skórze?

Bekhet nie odpowiedziała. Spuściła oczy.

— Nie widziałyście nic — powiedziała Termutis, i teraz mówiła już jak córka faraona, nie jak dziewczyna nad rzeką. — Nad Nilem był poranek i był kosz i było dziecko, które biorę na wychowanie, bo tak mi się spodobало. Ręka Pani była zawsze zdrowa. Rozumiecie?

— Tak, Pani — szepnęła Nefret.

— Tak, Pani — powiedziała Bekhet po chwili, i choć strach nie zszedł jej z twarzy, była w niej też jakaś nowa cześć, gdy patrzyła na dziecko. Bo widziała trąd córki faraona przez dwa lata, opatrywała go co rano, i wiedziała lepiej niż ktokolwiek, że to, co zobaczyła teraz, nie było sztuczką kapłanów.

Ciężkie — dobrze karmione dziecko, zdrowe, dobrze utrzymane. Ktoś o nim dbał. Ktoś go kochał i zostawił tu z jakiegoś powodu, który mógł być tylko jednym powodem, jeśli dziecko jest Hebrajczykiem i jeśli jest chłopcem.

Kazała przywołać mamkę, którą miała ze sobą. Dziecko odwróciło głowę.

Przywołała drugą. To samo.

Trzecią. To samo — spokojna odmowa, odsunięcie głowy, żadnego krzyku ani hysterii, jakby wiedziało, że to nie ta.

Wtedy z trzęsawisk wyszła dziewczynka.

Może pięć lat. Ciemna, z tymi samymi oczami co chłopiec w koszu — Termutis to zauważyła od razu. Stała przy brzegu, poważna, tak jak bywają małe dzieci wpłątane w sprawy dorosłych, i powiedziała po egipsku bez akcentu:

— Wielka Pani. Znam kobietę z ludu Hebrajczyków, która może nakarmić. Czy mam ją sprowadzić.

Termutis patrzyła na to dziecko przez chwilę.

— Idź — powiedziała.

Dziewczynka pobiegła.

Termutis stała przy Nilu z chłopcem na rękach i czekała. Słońce wychodziło zza palmowego gaju po wschodniej stronie rzeki. Dziecko w jej rękach patrzyło na nią spokojnie i ona patrzyła na dziecko i wiedziała — jeszcze zanim kobieta wróciła, jeszcze zanim cokolwiek zostało powiedziane — że to jej syn.

Że tak miało być.

Dwa lata i pałac

Przez dwa lata Jochebed karmiła go jako mamka.

Mówiła do niego po hebrajsku. Przy każdym karmieniu, przy każdej kołysance, przy każdej chwili, gdy byli sami. Termutis wiedziała i nie zabraniała — spokojne dobrze karmione dziecko było ważniejsze od języka mamki.

Przez te dwa lata Mojżesz miał dwa domy i dwie matki i dwa języki wchodzące w niego, zanim umiał cokolwiek powiedzieć. Jeden język brzmiał jak pałac — egipski, miękki, z tymi śpiewanymi samogłoskami, które mają teksty rytualne. Drugi brzmiał jak Goszen — twardszy przy spółgłoskach, z rytmem zdań zbudowanym inaczej, z tymi kołysankami, które Jochebed śpiewała ściszonego głosem, bo nawet w pałacowej komnacie stare nawyki zostają.

Po dwóch latach Termutis stanęła przed ojcem z dzieckiem na rękach.

Nie zrobiła tego lekko. Czekala, aż faraon będzie sam — to znaczy sam z królową, bo Tuja liczyła się na dworze jak połowa rady i połowa wojska naraz — i weszła do komnaty, w której jej rodzice siedzieli o zmierzchu: on nad zwojami donosów, ona nad planszą do seneta, którą traktowała jak mapę wroga.

— Chcę go zatrzymać — powiedziała, bez wstępu, bo wiedziała, że wstęp osłabia. — Wychowałam go przez dwa lata. Jest hebrajski. Wiem, co to znaczy, i mimo to chcę go zatrzymać.

Seti odłożył zwój i popatrzył na chłopca dłużej, niż popatrzyłby na donos — tym samym wzrokiem, którym czytał doniesienia zwiadu, szukając w nich tego, czego nie napisano.

— Wiesz, co podpisałem trzy lata temu — powiedział. Nie było w tym gniewu; było coś gorszego: rachunek. — Kazałem wrzucać takich jak on do rzeki. A ty przynosisz mi jednego, wyłowionego z tej samej rzeki, i chcesz, żebym posadził go pod dachem, pod którym śpią moi wnukowie.

— Astrologowie mówią, że zagrożenie minęło — odparła Termutis. — Wyzwoliciel miał zginąć przez wodę. On był w wodzie. Woda go wzięła i oddała. Niebezpieczeństwo—

— Astrologowie mówią to, co chcę usłyszeć, i to, co chcesz usłyszeć ty, i modlą się, żeby to było to samo — przerwał Seti. — Dynastii nie kupuję za wróżby.

Zapadła cisza, w której słyszać było tylko, jak Tuja przesuwając pionek po planszy. Nie podniosła głowy.

— Więc nie kupuj jej za wróżby — powiedziała królowa. — Kup ją za rozum.

Teraz oboje patrzyli na nią. Tuja odsunęła planszę, wstała i podeszła do dziecka — nie po to, by je pogłaskać, lecz by je obejrzeć, jak ogląda się konia albo posła. Wychowano ją na córkę żołnierza; umiała czytać ludzi, zanim nauczyła się czytać pismo, a pismo знаła lepiej niż połowa kapłanów w Karnaku.

— Powiem ci, co ja widzę — zwróciła się do męża, nie do córki. — Widzę zagrożenie, którego astrologowie nie umieją nazwać, bo wpatrują się w gwiazdy zamiast w ludzi. Ale to nie jest ten chłopiec. To jest lud w cegielniach, liczniejszy z każdym rokiem, i pytanie, które ten lud kiedyś zada. Tego pytania jeden bachor nie zmieni — nie zada go głośniejszemu, jeśli go utopisz, ani ciszej, jeśli go wychowasz. Więc nie o niego tu chodzi.

— A o kogo? — spytał Seti.

— O nią. — Skinęła głową ku Termutis, i po raz pierwszy w jej głosie pojawiło się coś, co u innej kobiety nazwano by czułością, a u niej było

raczej znajomością rany. — Straciła dziecko, zanim zdążyło mieć imię. Nie jedno. Ty tego nie widziałeś, bo byłeś wtedy pod Kadesz. Ja widziałam. I wiem, jak wygląda kobieta z naszego rodu, kiedy pierwszy raz od tamtego czasu trzyma w rękach coś żywego, co do niej lgnie. — Popatrzyła na męża twardo. — Pochowaliśmy pierworodnego, Seti. Oboje. Nie każ własnej córce chować kolejnego dziecka tylko dlatego, że to ma niewłaściwą krew. Dynastia, która nie umie zatrzymać przy sobie ani jednego dziecka, przegra prędzej niż ta, która przygarnie jedno za dużo.

Seti długo nie odpowiadał. Patrzył na żonę, potem na córkę, potem na chłopca, który — nieświadom, że waży się jego los — wyciągnął rączkę ku błyszczącej kobrze na czole faraona.

— Jeśli kiedyś podniesie tę rękę naprawdę — powiedział w końcu — pamiętaj, że to ty stałaś dziś po jego stronie.

— Będę pamiętać — powiedziała Tuja, i nie było w jej głosie cienia wątpliwości, że zapamięta wszystko, zawsze. — Ale za twojego życia jej nie podniesie. A po twoim — to już nie będzie twój kłopot.

Seti niemal się uśmiechnął. Prawie nikt nie umiał mówić do niego w ten sposób. Ona jedna umiała — i między innymi za to trzymał ją bliżej tronu niż kogokolwiek w państwie.

— Zostaw chłopca na dworze — powiedział do Termutis.

I Mojżesz wszedł na dwór faraona — wpuszczony nie przez wróżbę i nie przez litość faraona, lecz przez rozmowę, której poza tą trójką nie usłyszał nikt: przez zimny, celny rozum królowej, która w jednym dziecku umiała zobaczyć naraz zagrożenie dla państwa i ranę własnej córki — i rozstrzygnąć, że drugie waży więcej niż pierwsze.

Dom faraona

Dwór, na który wszedł dwuletni chłopiec, nie był miejscem spokojnym, choć z zewnątrz udawał wieczność. Egipt, którym rządził Seti, dopiero co pozbierał się z lat, o których nie mówiono głośno — lat, gdy jeden faraon

kazał zamknąć świątynie starych bogów, a potem umarł, i kraj przez pokolenie zataczał się od herezji do herezji, aż wojsko z Deltę położyło na tym rękę i powiedziało: dość. To wojsko było rodziną Setiego. Dlatego malowano teraz na każdej ścianie jego boskość farbą jaskrawszą, niż malowano ją komukolwiek przed nim: bo boskości, której się nie odziedziczyło, trzeba dowieść.

Seti dowodził jej mieczem. Odkąd sięgnął tronu, prowadził wojsko na północ — do Retenu, do Kanaanu, ku ziemiom, które Egipt utracił w latach słabości — i odbierał je miasto po mieście, twierdza po twierdzy, żeby na pylonach wielkiej świątyni w Karnaku mogli wyryć go w kamieniu, jak roztrąca wrogów jednym uderzeniem ramienia. Odzyskał wiele. Ale nie wszystko, i wiedział, że nie wszystkiego odzyska, bo na północy rósł przeciwnik, którego nie dało się rozbić jedną kampanią: Hetyci. Ich rydwany schodziły coraz niżej, ich przymierza sięgały coraz głębiej w ziemie, które Egipt uważał za swoje — a Seti wiedział, że wielkiej rozprawy z nimi nie rozstrzygnie jedna kampania ani nawet jedno panowanie. Taką wojnę zostawia się temu, kto przyjdzie po tobie. On zamierzał tylko przygotować jej grunt — i przygotować syna.

Syn był drugim frontem Setiego — cichszym i bliższym niż tamten na północy. Nazywał się Ramzes i był jeszcze małym chłopcem, ledwie o kilka lat starszym od znajdy, który właśnie trafił pod ten dach — dzieckiem o zbyt poważnych jak na swój wiek oczach, w którym ojciec już teraz wypatrywał tego, czego dynastia potrzebuje od dziedzica: twardości, dokładności, głodu. A mimo to Seti patrzył na niego czasem tak, jak patrzy się na jedyny most nad przepaścią. Bo Ramzes nie był pierworodnym. Pierworodny — Nebchasetnebet, ten, który miał panować — umarł chłopcem, w kilka dni, na gorączkę, której lekarze nie umieli nazwać, i tamtej nocy cała potęga wojska z Deltę i cała malowana boskość zawisły nagle na jednym młodszym synu. Od tamtej nocy Seti nie pozwalał sobie na spokój w sprawie sukcesji. Nad głową małego chłopca ułożył już całą jego przyszłość: że uczyni go koregentem, ledwie

ten dorośnie, weźmie na kampanie, gdy tylko utrzyma się na rydwanie, ożeni wcześniej i będzie się domagał wnuków, zanim rówieśnicy pomyślą o pierwszym zaroście — bo ród, który raz omal nie zgasł, liczy zapasowych dziedziców jak łucznik liczy strzały przed bitwą. Na razie jednak dziedzic ćwiczył swój upór na nianiach i na drewnianym łuku; ale i w tym dziecięcym uporze ojciec dostrzegał już to, czego szukał.

Była przy nim w tym wszystkim jedna kobieta, i tylko jedna — co na dworze faraona zakrawało niemal na skandal. Inni władcy mieli haremy liczone w setki; Seti miał Tuję. Pochodziła, jak on, z żołnierskiego rodu — jej ojciec dowodził rydwanami — i może dlatego rozumiała go bez słów, których nie miał zwyczaju marnować. To ona wypłakała pierworodnego, gdy on nie mógł sobie pozwolić na łyżę przed dworem; to ona patrzyła teraz, jak ojciec zaczyna kuć władcę z małego jeszcze chłopca, i milczała, bo wiedziała, że to konieczne, i nie cierpiała tego, że konieczne. Mówiono, że jej wizerunki na ścianach są piękniejsze niż wizerunki innych królowych. Prawda była prostsza: rzeźbiarze rzadko widują małżeństwo, w którym po trzydziestu latach dwoje ludzi wciąż woli swoje towarzystwo od cudzego — a kiedy je widzą, długo samo staje się delikatniejsze.

W ten dom — obóz wojskowy w szatach ze złota, ród, który dowodził swojej boskości mieczem i strachem, dynastię liczącą synów jak strzały — jego córka Termutis przyniosła znajdę. Hebrajczyka. Dziecko z ludu, którego astrologowie kazali się bać, wyłowione z tej samej rzeki, do której na jego własny rozkaz wrzucano hebrajskich chłopców. Seti spojrział na malca raz, długo, tym wzrokiem, którym czytał doniesienia zwiadu — i nie zobaczył zagrożenia. Zobaczył wodę, która, jak powiedzieli astrologowie, wyzwoliciela już pochłoneła. Kazał go zostawić. Może z nudów. Może dlatego, że stary drapieżnik lubi czasem potrzymać w łapie coś, co powinien był zabić, tylko po to, by patrzeć, co z tego wyrośnie. A może dlatego, że Termutis — która pochowała jednego brata i patrzyła, jak z drugiego wykuwają władcę —

potrzebowała mieć w tym twardym domu jedną istotę, którą wolno jej było po prostu kochać; i on, faraon, który odmawiał sobie miękkości przez całe życie, zdobył się ten jeden raz, by nie odmówić jej córce.

Chłopiec nie wiedział o niczym z tego. Miał dwa lata i uczył się chodzić po posadzkach, na których malowano bogów, do których nie miał się nigdy modlić.

Korona

Stało się, gdy miał może cztery lata.

Sala przyjęć prywatnych przy północnym skrzydle pałacu — mniejsza od sali tronowej, z kolumnami z czerwonego granitu i z posadzką z czarnego bazaltu i z oknem na ogród z palmami. Popołudniowe słońce wpadało przez okno ukośnym słupem i w tym słupie tańczyły drobiny kurzu. Na ścianach malowidła z życia bogów — Ra na barce słonecznej, Ozyrys na tronie Duatu, Horus z sokołem na ramieniu. Całość zaprojektowana, żeby człowiek, który tu wchodził, od razu wiedział, gdzie jest i kim jest ten, który tu przyjmuje.

Seti siedział na niskim krześle — nie tronie, krześle, to było spotkanie rodzinne a nie audyencja — w pełnym stroju ceremonialnym, bo wcześniej była procesja do świątyni Ptaha i nie zdążył się przebrać. Podwójna korona Górnego i Dolnego Egiptu na głowie, ciężka, złota z czerwoną i białą wkładką, z ureuszem przy czole — złotą kobrą gotową do ataku. Berło i bicz skrzyżowane na piersi. Kilku dworzan przy ścianie, nieruchomych jak kolumny, i kapłan Amona Nebseny — starszy, chudy, w białej szacie, z wyrazem twarzy, jaki mają kapłani, kiedy są przy czymś oficjalnym i kiedy obserwują i zapamiętują.

Termutis weszła z chłopcem za rękę.

Chłopiec rozejrzał się po sali tak poważnie, jak rozgląda się dziecko, które trafiło w miejsce o wiele większe od niego. Kolumny były wysokie i patrzył na nie. Malowidła były kolorowe i patrzył na nie. Potem zobaczył dziadka i patrzył na niego.

A właściwie — na koronę.

— Chodź tu — powiedział Seti.

Chłopiec podszedł. Stał przy kolanie faraona i patrzył na koronę z bliska, miną kogoś, kto oblicza odległość i wagę i skład materiału — wszystko naraz, bez słów.

Seti spojrział na Termutis. Ona wzruszyła ramionami lekko — co chcesz, taki jest.

Faraon zdjął koronę.

Był taki gest, który wymknął mu się czasem przy dzieciach Termutis — ludzki gest, ojcowski, ten, który mówi, że pod całą tą złotą ceremonialną powłoką jest człowiek, który lubi, jak dzieci się śmieją. Zdjął koronę i podał chłopcu.

— Masz.

Przy ścianie jeden z dworzan wyraźnie się wzdrygnął. Nebseny — kapłan — nie ruszył się, ale Termutis widziała, jak jego oczy zwęziły się nieznacznie.

Chłopiec wziął koronę oburącz. Ciężka — cała ze złota i kamieni szlachetnych, za ciężka dla czterolatka, żeby trzymać wygodnie. Trzymał ją przy piersi i oglądał. Przekręcał. Badał palcem ureusza.

— Wiesz co to jest — powiedział Seti.

— Złote — powiedział chłopiec poważnie.

Seti się roześmiał. Pierwszy raz od tygodnia — Termutis to widziała i było jej ciepło z tego śmiechu, ten śmiech był prawdziwy a nie na pokaz.

— Złote — potwierdził faraon. — I co jeszcze.

Chłopiec myślał przez chwilę.

— Ciężkie — powiedział.

— Słusznie — powiedział Seti. — Bardzo ciężkie. Noszę ją całe dnie i wieczorami boli mnie kark.

Termutis nie spodziewała się, że ojciec to powie. Ale powiedział i chłopiec patrzył na niego tym samym skupionym wyrazem i coś w tym

skupieniu było takie poważne, że Seti przestał się śmiać i też popatrzył na chłopca poważnie przez chwilę.

Potem chłopiec upuścił koronę.

Nie z roztargnienia — celowo, tak samo poważnie, jak wcześniej ją trzymał. Położył ją na czarnej bazaltowej posadzce i stanął na niej.

Lewa stopa. Środkiem podeszwy. Na podwójnej koronie Górnego i Dolnego Egiptu.

I podniósł wzrok na Setiego.

Cisza.

Taka cisza, jak kiedy coś się zdarzyło i wszyscy w sali to widzieli i nikt nie wie, co powiedzieć pierwszy.

Termutis miała syna na rękach, zanim zdążyła pomyśleć — ten ruch, który nie przechodzi przez głowę, który jest z ciała, z tej warstwy matki, która reaguje szybciej niż cokolwiek innego. Chłopiec nie protestował — dał się podnieść spokojnie i siedział w jej ramionach i patrzył na dziadka tymi samymi ciemnymi oczami.

Nebseny odezwał się, zanim ona zdążyła.

— Najjaśniejszy Panie. — Głos kapłana był cichy i spokojny, ten głos człowieka, który mówi ważne rzeczy cicho, bo wie, że ważne rzeczy nie potrzebują krzyku. — To jest znak. Teksty wyroczni są jasne w kwestii gestów które—

— Nebseny — powiedział Seti.

— Najjaśniejszy Panie.

— Widzisz to dziecko.

— Widzę, Najjaśniejszy Panie.

— Ile ma lat.

— Według moich obliczeń około czterech, Najjaśniejszy Panie.

— Cztery lata — powiedział Seti. — I sięga po wszystko, co błyszczący, i upuszcza, co jest za ciężkie. Moje wnuki robiły to samo w tym wieku. Moje dzieci robiły to samo. Ja prawdopodobnie też. — Chwila. — Jeśli

ktos z moich dworzan widzi w zachowaniu czterolatka zagrozenie dla dynastii — to jest problem tego dworzanina, nie dziecka.

Przy scianie nikt sie nie odezwal. Dworzanie patrzyli w posadzke lub w sciany.

Nebseny stal nieruchomo.

— Oczywiscie, Najjasniejszy Panie — powiedzial w koncu. — Przepraszam za gorliwosc.

Seti wstal i podszedl do posadzki i podniosl korone. Otrzepal — ten odruch czlowieka przy przedmiocie ktory lezal na ziemi, tak ludzki ze prawie smieszny przy podwojnej koronie Egiptu — i wlozyl z powrotem na glowe.

Spojrzal na chlopca w ramionach Termutis.

Chlopiec patrzyl na niego.

— Mądre dziecko — powiedzial Seti cicho, bardziej do siebie niz do kogokolwiek. — Ciężka. Słusznie.

I wyszedl.

Dworzanie za nim. Nebseny jako ostatni — przy drzwiach zatrzymal sie i odwrócił i przez chwile patrzyl na chlopca w ramionach Termutis.

Termutis patrzyla na niego.

— Dobrego wieczoru, Nebseny — powiedziala.

— Dobrego wieczoru, Wielka Pani — powiedzial kaplan. I wyszedl.

Termutis stala sama w sali z chlopcem. Popołudniowe slonce przesunelo sie — slup swiatla, w ktorym tanczyly drobiny kurzu, byl teraz przy oknie, niski, zloty, prawie poziomy.

— Dlaczego stanales na koronie — powiedziala po cichu do syna.

Chlopiec myslal przez chwile.

— Ciężka — powiedzial.

Termutis patrzyla na niego przez chwile. Potem przycisnela go mocniej i wyszla z sali.

Próba z węglem

Nebseny nie dał spokoju.

Termutis wiedziała, że nie da — знаła go od dzieciństwa, znała ten rodzaj kapłańskiej wytrwałości, która jest cierpliwa jak woda i tak samo skuteczna przy długotrwałym działaniu. Przychodził do ojca. Raz dziennie, dwa razy, z tekstami wyroczni i z precedensami z archiwów i z mądrymi minami starszych kapłanów, których ze sobą przyciągał jako wsparcie.

Tydzień po incydencie z koroną ojciec wezwał ją do siebie.

Siedział przy biurku w komnacie roboczej — bez stroju ceremonialnego, w prostej lnianej szacie, z tabliczkami i zwojami porozrzucanymi po całym blacie. Tak wyglądał, gdy był zmęczony i gdy chciał, żeby Termutis to wiedziała.

— Nebseny chce próby — powiedział bez wstępu.

Termutis usiadła naprzeciw.

— Wiem — powiedziała.

— Dwie miseczki. Złoto i węgle. Klasyczna próba inteligencji z archiwów Per-Ankh. Jeśli chłopiec sięgnie po złoto — wie, co wartościowe, jest zbyt bystry, jest zagrożeniem. Jeśli po węgle — jest jak każde dziecko w jego wieku i Nebseny zostawia nas w spokoju.

— Ojciec — powiedziała Termutis. — On ma cztery lata.

— Wiem ile ma lat.

— Sięgnie po złoto, bo złoto błyszczy bardziej. Bo tak działają dzieci w tym wieku. To nie jest inteligencja — to jest wzrok.

— Wiem — powiedział Seti. I naprawdę wiedział — ona to słyszała w jego głosie. — Ale Nebseny będzie przychodził, dopóki nie dostanie swojej próby. — Chwila. — A ja mam dość słuchania Nebsenego.

Termutis milczała przez chwilę.

— I co jeśli sięgnie po złoto.

— Wtedy — powiedział Seti — będę miał poważny problem z Nebsenym. — Chwila. — Ale nie z tobą. I nie z chłopcem.

Patrzyła na ojca. Lata na tronie nauczyły go mówić pół prawdy w sposób, który brzmiał jak cała. Że nie będzie problemu z nią i z chłopcem — to było prawdziwe. Że nie będzie problemu w ogóle — tego nie powiedział.

— Kiedy — powiedziała.

— Jutro rano.

Tej nocy Termutis nie spała.

Sala była ta sama co przy koronie — z kolumnami z czerwonego granitu i z czarną posadzką i z malowidłami bogów na ścianach. Ale tym razem nie było popołudniowego słońca i nie było kurzu tańczącego w słupie światła. Rano sala była chłodna i szara i pachniała kamieniem.

Nebseny przyszedł z dwoma pomocnikami — młodymi kapłanami w białych szatach, z miedzianymi miseczkami nakrytymi płótnem. Seti siedział na krześle przy ścianie. Kilku dworzan przy wejściu, nieruchomych.

Termutis trzymała chłopca za rękę.

— Wielka Pani — powiedział Nebseny z ukłonem. — Dziękuję, że przybyłaś.

— Nebseny — powiedziała Termutis.

— Procedura jest prosta — mówił kapłan do Setiego, nie do niej. — Dziecko zostaje postawione przed miseczkami. Nie mówimy mu, co w nich jest. Nie sugerujemy żadnego wyboru. Obserwujemy. — Chwila. — Czy Najjaśniejszy Pan ma pytania.

— Nie — powiedział Seti.

Pomocnicy Nebsenego postawili miseczki na niskim stoliku pośrodku sali i zdjęli płótna. Po lewej — złoto. Kilka pierścieni, łańcuszek, kilka kamieni szlachetnych, żółte i błyszczące nawet w szarym porannym

światle. Po prawej — węgle. Żarzące się, pomarańczowe, z lekkim dymem, który unosił się pionowo w nieruchomym powietrzu sali.

Termutis poczuła, jak chłopiec poruszył się przy jej ręce. Patrzył na miseczki.

— Możesz podejść — powiedział Nebseny do chłopca. Głos spokojny, neutralny, bez barwy. — Popatrz.

Chłopiec patrzył na Termutis.

— Idź — powiedziała. Głos miała spokojny. Ręce zaciśnięte za plecami, żeby nikt nie widział.

Chłopiec podszedł do stolika. Stanął przed miseczkami i patrzył na nie tak, jak rzemieślnik ocenia surowiec do pracy. Po lewej złoto. Po prawej pomarańczowe żarzące się węgle.

Sala była cicha.

Słysząc było tylko lekki trzask węgla i własny oddech Termutis, który starała się wyrównać i nie mogła.

Chłopiec wyciągnął rękę.

W stronę złota.

Termutis zamknęła oczy.

Seti przy ścianie siedział bez ruchu.

Nebseny wciągnął powietrze przez nos.

I wtedy — nic. Termutis otworzyła oczy. Chłopiec stał z ręką w połowie drogi do złotej miseczki i nie ruszał się. Stał tak przez sekundę. Dwie. Jego twarz — skupiona, jakby słuchał czegoś, czego inni nie słyszeli.

Potem Termutis zobaczyła — albo jej się zdawało, że zobaczyła, i nigdy potem nie była pewna — że powietrze przy chłopcu zgęstniało. Nie jak dym, nie jak cień. Jak obecność. Coś jasnego i nieruchomego jednocześnie, tuż przy jego lewym ramieniu, przez ułamek sekundy, który mógł być złudzeniem światła wpadającego przez szczeliny w dachu.

Chłopiec przekręcił głowę w tamtą stronę.

Jakby ktoś do niego mówił.

Nikt inny w sali tego nie zobaczył. Seti patrzył na chłopca. Nebseny patrzył na chłopca. Dworzanie patrzyli na Nebsenego. Tylko Termutis patrzyła na to miejsce przy ramieniu syna i na ułamek sekundy — ciepłe, spokojne, obecne — coś patrzyło z powrotem.

Za zasłoną, której sala z czerwonymi kolumnami nie unosiła, przy lewym ramieniu chłopca stał Gabriel.

Ten, który nosi słowa. Nie z wojska Michałowego, co staje w bramie z mieczem, lecz z tych, którzy przychodzą, gdy trzeba coś rzec albo coś odwrócić cichą ręką. Pochylił się nad dzieckiem — nad tym samym dzieckiem, które kilka lat wcześniej spało w koszu, gdy nad wodą trwała straż — i widział to, czego nie widział nikt w sali: że mała ręka wyciągnięta ku złotu jest ręką czteroletniego dziecka, które sięga po to, co błyszczący, i że w tym błysku czeka coś, co złamie chłopca, zanim jeszcze zdąży urosnąć. Bo tak jest postanowione w archiwach ludzi: kto sięgnie po złoto, ten za bystry, ten zagrożenie, tego się usuwa.

— Nie złoto — powiedział Gabriel, cicho, tak jak mówi się do dziecka, choć dziecko nie zna jeszcze słów. — Węgiel. Sięgnij po węgiel, mały. Dziś ból ocali ci życie.

I chłopiec go usłyszał — nie uszami, lecz tak, jak niemowlę słyszy matkę przez ścianę snu.

Przekręcił głowę i spojrzał wprost na Gabriela. Zobaczył go — bo dzieciom w tym wieku dane bywa widzieć to, co dorośli już oduczyli się widzieć. I twarz chłopca rozjaśniła się nagłą, czystą radością, jaką mają tylko bardzo małe dzieci na widok czegoś jasnego. Wyciągnął rączkę — nie ku złotu już i nie ku węglom, lecz ku samemu Gabrielowi, żeby go dotknąć, złapać, jak łapie się słońce na ścianie.

Ręka przeszła na wylot. Przez światło, jakby przez ciepłe powietrze, i nie napotkała nic.

Chłopiec zaśmiał się. Krótko, zdziwiony i uszczęśliwiony naraz — tym śmiechem, którym dziecko wita rzecz cudowną i niepojętą, jakby świat właśnie zrobił dla niego sztuczkę. Spróbował jeszcze raz. Znow ręką przeszła przez blask, i znow nic, i znow ten śmiech.

Gabriel nie cofnął się. Począł, aż dziecko się nasyci — bo i na to był czas w porządku rzeczy — a potem, tym samym cichym słowem, które nie jest słowem, odwrócił jego uwagę ku miseczkom.

— Teraz — powiedział. — Węgiel.

A potem znikło. I chłopiec odwrócił głowę z powrotem ku miseczkom.

Potem ręka zmieniła kierunek.

Powoli, pewnie, bez wahania — w prawo. Ku węglom.

Chłopiec wziął jeden węgiel palcami.

I włożył do ust.

Sekundy, które nastąpiły, były najdłuższymi sekundami w życiu Termutis.

Krzyk chłopca — natychmiastowy, rozdzierający, ból bez ostrzeżenia. Znalazła się przy nim, nim zdołała pomyśleć o biegu — po prostu była, klęcząc przy nim na czarnej posadzce, z dłonią przy jego twarzy i węgiel wytrząśnięty i ktoś podał wodę i ona lała mu wodę na język i na rękę i on krzyczał i płakał i w tych płaczach był tylko ból, czysty i prosty, bez niczego innego.

— Dobra — odezwał się Nebseny ponad jej głową. Głos spokojny, ten sam spokój co zawsze. — Sięgnął po węgle jak każde dziecko w jego wieku. Wynik próby jest jednoznaczny. Nie ma zagrożenia dla korony.

— Świetnie — powiedział Seti. Wstał. — Cieszę się, że to wyjaśniliśmy. — Chwila przy wychodzeniu. — Nebseny.

— Najjaśniejszy Panie.

— Więcej prób nie będzie.

— Oczywiście, Najjaśniejszy Panie.

Wyszedł. Dworzanie za nim. Pomocnicy zabrali miseczeki. Nebseny wyszedł ostatni i drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaskiem i Termutis została sama na podłodze z synem na kolanach.

Chłopiec płakał ciszej już — tym płaczem, który jest po ostrym bólu, gdy ból jest jeszcze, ale już wiadomo, że nie rośnie, że to już tyle, ile będzie. Termutis kołysała go i patrzyła na jego rękę — czerwona na opuszkach palców, popęknięta skóra. I język — nie mogła sprawdzić języka, bo on nie pozwalał, odwracał głowę i płakał, gdy próbowała.

— Już dobrze — mówiła. — Już dobrze. Mama jest.

Wiedziała, że nie jest dobrze. Oparzenia na dłoni goją się przez tydzień. Język goi się wolniej i nie zawsze wraca do stanu sprzed.

Ale on żył. I to był wynik próby, który ona sama zapamiętała.

Nebseny zapamiętał inny wynik.

Zapamiętał, że chłopiec wyciągnął rękę do złota jako pierwszego i zmienił kierunek w ostatniej chwili. I to, co Nebseny o tym myślał — tego nie powiedział nikomu. Jeszcze nie.

Na podłodze sali z czerwonymi kolumnami Termutis kołysała syna i śpiewała mu cicho tę samą piosenkę co zawsze — egipską, z pałacu, melodię którą nauczyła się od własnej mamki trzydzieści lat temu — i chłopiec płakał coraz ciszej i w końcu zasnął z twarzą przy jej ramieniu i oparzoną językiem za zamkniętymi zębami.

Długo potem, gdy syn dorośnie i gdy będzie stał przed kolejnym faraonem z laską w rękę i słowami, których nie może wypowiedzieć płynnie — Termutis będzie myślała o tej sali i o tych węglach i o tym, jak ręka chłopca zmieniła kierunek.

I nigdy nie będzie wiedziała, czy to był przypadek, czy coś innego.

Ale będzie miała swoje zdanie.